

Ronald Kaszub

SEJMMIS.JA

**JAK OSŁY
POSZŁY W POSŁY**



e-book
ASTRUM
M E D I A
www.astrummedia.pl

SEJMMIS.JA

Ronald Kaszub

SEJMMISJA

**JAK OSŁY
POSZŁY W POSŁY**

e-book
ASTRUM
M E D I A
www.astrummedia.pl
W R O C Ł A W

© Copyright by Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

JOANNA KOTOWSKA

Redakcja techniczna

ELŻBIETA BURSZTYNOWICZ

Projekt okładki

DACJAN DOMAGAŁA

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana,
w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób,
włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu
innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy*
(art. 116, 117 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych
z dn. 4.02.1994 r.)

Zamówienia na książki można składać
przez Internetową Księgarnię Wysyłkową
www.wydawnictwo-astrum.pl

Zapraszamy do zakupu naszych książek, multimediiów,
słuchowisk, poezji śpiewanej w formie e-booków i e-audiobooków
na platformach cyfrowych

Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.
50-374 Wrocław, ul. Norwida 19/6
e-mail: handlowy@astrum.wroc.pl

ISBN 978-83-63758-86-8

Miłe złego początku

Zima ścisnęła nie na żarty i końca jej nie było widać. Warszawa tego roku wyglądała jak ziemia pod reżimem Królowej Śniegu, gdzie Królowna Śnieżka i Siedmiu Krasnoludków spali dla oszczędności w jednym łóżku. Kryzys panował w kraju od lat, dlatego nawet bajki dla dzieci były kryzysowe.

Mimo to gospodarka kwitła dzięki ofiarności obywateli, gotowych poświęcić naprawdę wiele dla kochanej ludowej ojczyzny i mateczki-partii. Wszystko dla budowania nowej przyszłości, nowego świata...

Był to rok Pański, jak mawiają wierzący, którzy naliczyli sobie już tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem lat od narodzin Mesjasza.

Śnieg padał obficie pomimo zbliżającej się wiosny i wszyscy zastanawiali się, kiedy wreszcie skończy się ten zimny, lodowaty dopust niebios i czy aby ta anomalia pogodowa nie zwiastuje rychłego nadejścia jakiegoś innego paskudztwa. Największe dziejowe katastrofy miały zawsze przyczyny naturalne, od czasów biblijnych: potop, Sodom i Gomora, plagi egipskie, apokalipsa nawet...

Choć przyznać trzeba, że lata komunizmu nadwyreżyły wyobraźnię rodaków w kategorii reprodukowania coraz to nowych paskudztw i dopustów. Od tego była władza, a ta nie znosiła konkurencji. Tym bardziej, że publiczne zaglądanie do Biblii było w tej sytuacji mówiąc delikatnie: źle widziane.

Wszak górował w narodzie zdrowy światopogląd materialistyczny. A kto się wymykał tej idei i co gorsza, jeszcze się z tym obnosił, uważany był nie tyle za odszczepieńca, co wariata, bo kochana władzuchna zadbała zaraz, by delikwent ten nie mógł siać fermentu w zdrowej tkance ludowej.

Na innowierców władza z jej naczelną partią PZPR i ojcem narodu w osobie pierwszego sekretarza w siermiężnej komunie miała swój własny sposób. Od czego w końcu była Służba Bezpieczeństwa (SB)...? Ale o tym może przy innej okazji...

Tak czy siak siermiężność komuny objawiała się na każdym kroku, między innymi szarością ulic, placów, parków i budowli. Może to nie najlepsze objawienie, ale za to poprawne politycznie. Jakie czasy, takie objawienie...

I w czasie tej mroźnej zimy-wiosny, na osiedlu, w cieniu wielkich płyt, pies w kolorze podpalanym wyprowadzał na spacer pana, ale ewidentnie rzucało się w oczy, że żaden z nich nie był z tego powodu zachwycony. Owczarek co chwilę podnosił łeb i odwracał się do człowieka, spoglądając w oczy łagodnie, jakby chciał przeprosić i usprawiedliwić się: „Obiecuję, tylko pójdę sobie na ten skwerek, pod krzaczek, zrobię co trzeba i zaraz wracamy, do domu, do ciepłego domu. A tam możesz się nawet wsunąć z powrotem pod kołdrę i zasnąć tak słodko...”

„Taaak, zasnąć słodko – myślał sobie człowiek ze smyczą w ręku – tak słodko, jak się człowiek czuje smakując poranną kawę z mlekiem i z cukrem. Przynajmniej słodkie sny nie są, póki co, na kartki...”

Młodszy czytelnik z pewnością zapyta, co to są kartki. Kartki, to wymysł ówczesnej władzy, mający na celu sprawiedliwą reglamentację dóbr. Bo choć wszystko mamy wspólne, to dobra wspólne należy dzielić sprawiedliwie wśród ludu, by

nie zdarzyło się, że ktoś kupi więcej cukru, mięsa albo paliwa niż jego sąsiad. W końcu wszyscy obywatele są równi i wolno im kupić dokładnie tyle samo wszystkiego, co da się kupić. Gdyby nie to, zapanowałby straszny bałagan i nawet trudno sobie wyobrazić skandal, gdyby okazało się, że jeden obywatel ma w domu szafę pełną cukru czy makaronu, a inny zaledwie jedno opakowanie, a i to zdobyte z trudem.

Dzięki temu kraj kwitł, a ojczyzna znajdowała się w permanentnej budowie. Każde osiedle musiało zostać zbudowane z wielkiej płyty i posiadać obowiązkowy skwer, nawet, jeśli kompletnie burzyło to koncepcje zagospodarowania przestrzennego.

Dzięki temu wspomniany wcześniej piesek mógł sobie biegać zakłopotany po skwerku, a jego właściciel marznąć na śniegu marząc o ciepłym łóżku w swoim domu z wielkiej płyty.

W tym samym mniej więcej czasie trzynastoletni Robert Stonka, chłopiec o włosach czarnych jak węgiel i posturze dosyć mizernej, dreptał do szkoły z plecakiem niewiele mniejszym niż on sam. Podobnie jak reszta świata nie miał motywacji do tego, co robił. Pod tym względem można go było uznać za stuprocentowego Polaka, a nawet patriotę, bo gdyby go ktoś zapytał, z pewnością odrzekłby, że wcale nie zamierzał się zmienić. Zbyt był chudy, mizerny i słabowity by udźwignąć na swych drżących barkach ciężar patriotyzmu. Tak mu się przynajmniej zdawało...

Kto może wiedzieć, co go w życiu czeka...

Rozglądał się na prawo i lewo jakby szukał ratunku, jakichś okoliczności łagodzących, oczywiście okoliczności przyrody (innych niż śnieg po szyję, bo do tego wszyscy zdążyli się przyzwyczaić), które mogłyby odwołać lub odroczyć jego wyprawę do rejonowej placówki oświatowej.

Tam nigdy nie czuł się dobrze. Polonistka wciąż napominała go, że bazgrze jak kura pazurem, nie zna ortografii i ma poważne problemy z gramatyką, a gdy już myślał, że skończyła się nad nim pastwić, wtedy zaczynała odpytywać z (nie) przeczytanych lektur. Co on mógł na to poradzić, że Konrad Wallenrod mylił mu się z Kordianem, a Broniewski z Gribjedowem? Czy to naprawdę nie wszystko jedno? Potem miała być matematyka, i znowu te ułamki. Nauczycielka po prostu się na niego zawzięła. Bo jaki normalny człowiek komplikuje sobie życie dzieląc wszystko na kawałki? Nic go nie obchodziła żadna Ala, która podzieliła jabłko na 28 części, by rozdzielić je pomiędzy swe liczne rodzeństwo. Czy jeśli obliczy, jaki kawałek dostało każde z dzieci, cokolwiek to zmieni w jego życiu? W takich chwilach życzył sobie tylko, żeby ta Ala z zadania zjadła całe jabłko sama. Wtedy matematyczka nie mogłaby się nad nim pastwić zadając głupie pytania i stawiając pałę za pałę.

Gdy skończył rozważania o szkole widział znowu tylko nagie, rozpaczliwie czarne kikuty drzew, wyciągające oskarżycielsko szpony prosto w niebo, jak co rano, jak od lat, odkąd racjonalizatorzy posadzili je na tym osiedlu w ramach planu zagospodarowania przestrzeni miejskiej i zapewnienia zieleni osiedlowej.

Tak mało słońca, tak mało kolorów na tym świecie, a blade i zmarznięty Robert Stonka pragnął widzieć wszystko na różowo. Co tam na różowo, to tylko jeden kolor, a chłopiec chciał się pławić we wszystkich kolorach tęczy...

I trudno mu się dziwić, bo gdy na całym świecie szalała rewolucja obyczajowa, hipisi nosili długie włosy i różnobarwne stroje, jemu narzucano na grzbiet szarozielony plecak, jak jakimś harcerzowi i kazano chodzić do szkoły. A tam jedynych

emocji dostarczało rozgniatanie ząbków czosnku pod nogami biurka matematyczki, albo bitwa pod ławkami o ostatniego „Donalda” ze sklepiu szkolnego. Albo przynajmniej o „historyjkę”, która warta była znacznie więcej niż sama guma... Jakże miał to wytrzymać...?

– Hej, mała?! – usłyszał nagle ochrypły głos dryblas, siedzącego na oparciu ławki z nogami na siedzeniu.

Był starszy, wyglądał na dwadzieścia lat, miał czarną, wełnianą czapkę, szorstką szczecinę na twarzy i czerwone ręce świadczące o tym, że nie dbał o siebie choćby na tyle, by nosić rękawiczki. Nie był wystrojony, ale w porównaniu ze Stonką, który wstydził się spłowiałego kołnierzyka i wytartych mankietów kurtki po starszych kuzynach, dryblas prezentował się nad wyraz korzystnie. Wszystko było na nim czyste i nieporwane, może nawet nowe, a w butach z całą pewnością nie było ani kawałka waty, którą Robercik wypychał zbyt duże kozaczki po starszej siostrze.

– Mała to jest twoja pała! – odkrzyknął Stonka i zadowolony z siebie przyspieszył kroku, bo wreszcie miał ku temu motywację.

„Ale mu odpowiedziałem, teraz będzie się miał z pyszna” – cieszył się chłopiec. Słyszał tę odzywkę od koleżanki z klasy. Była niskiego wzrostu i w całej szkole dokuczali jej krzycząc za nią: „mała”. Tylko on jeden ze wszystkich rówieśników był od niej niższy.

Dryblas zeskoczył z ławki i zaszedł bezbronnemu Stonce drogę. Ten chciał się odwrócić i uciec, ale nogi pod nim zeszywniały i nie mógł się ruszyć.

„O mamo, alez będzie łomot” – pomyślał Stonka i już przygotowywał się psychicznie na ból wybijanych zębów. Dryblas przypatrywał mu się badawczo:

– Ładny jesteś – powiedział w końcu. – Tak naprawdę to wiedziałem, że nie jesteś dziewczyną, ale tylko tak się z tobą droczyłem. Podobasz mi się, no chodź...

Wyciągnął do trzynastolatka dłoń wielką jak łopata.

– Dokąd iść? – zapytał jeszcze bardziej przestraszony Stonka.

Spodziewał się, że dryblas zabierze go na tamten świat, albo gdzieś, gdzie będzie musiał zmywać korytarz sznurówką, albo pastować hektary podłogi szczoteczką do zębów. Od parteru po piętnaste piętro. O mamó! To może już lepiej niech mu od razu włoży głowę do sedesu i spuści wodę. Chwila grozy, potem się umyje, osuszy i po wszystkim... – rozmyślał.

– Nie pytaj tylko chodź! – szarpnął go za rękę, po czym nachylił się nad chłopcem, odsłonił rąbek czerwonej czapki Stonki i szepnął mu prosto do ucha: – No chodź...

Robercik poczuł na małżowinie gorący powiew jego oddechu.

„O Boże jedyny... O Jezusie... O Matko Boska i wszyscy święci... – pomyślał Stonka już ciągniony przez dryblasa w nieznanym kierunku. – Co on mi teraz robi, przecież on mi nogi z dupy powyrywa...!”

Wbrew przypuszczeniom dryblas nie zaciągnął chłopaka w żadną ciemną uliczkę (może dlatego, że o ósmej rano trochę trudno taką znaleźć) ale do mieszkania w bloku, na dziewiątym piętrze, na szczęście z windą, na sąsiednim osiedlu.

– Lubisz herbatę? – zapytał dryblas odpinając guziki i zdejmując kurtkę. – Bo ja bardzo. Mama właśnie kupiła całe pudełko „yunnana” i mamy świeżą esencję, mogę ci zrobić...

Stonka nawet nie słuchał. Szeroko otwartymi oczami rozglądał się nieśmiało po boazerii w przedpokoju, zielonych tapetach w pokoju naprzeciwko łazienki i żółtych ścianach w po-

koju gościnnym. Przez uchylone drzwi trzeciego pokoju widać było różowe tapety w białe, kwiatowe wzorki, a czwarty pokój był zamknięty. Nie przyjrzał się nawet dokładnie masywnym drzwiom, bo tymczasem gospodarz zdarł z niego kurtkę, porozpinał buty i nałożył na stopy zbyt duże, czarne, zrobione z dermy, kapcie z szarą, filcową wkładką w środku. Żeby je założyć Stonka musiał się oprzeć o wielki regał w stylu „wczesnego Gierka”, oczywiście na wysoki połysk, z mnóstwem kryształów i, nie wiadomo czyich, pucharów i statuetek w witrynie, zajmującej niemalże całą ścianę w dużym pokoju. Oprócz tego były tam stłoczone dwa serwisy: obiadowy i kawowy – oba zdobione w eleganckie różyczki i złote szlaczki na obwódkach filiżanek i talerzy.

– Nie ten pokój, przejdziemy do mojego – rzekł gospodarz wyprowadzając go z powrotem na korytarz i wskazując docelowe drzwi.

Roberek nieśmiało podreptał w tamtym kierunku i naciśnął klamkę.

– Ty się nic nie przejmuj – uspokoił go dryblas, kładąc mu rękę na ramieniu. – Stary jest w delegacji, a matka, korzystając z okazji, poszła na zakupy. Potem pójdzie do fryzjera i kosmetyczki, potem na kawusię z psiapsiółkami, do wieczora mamy ją z głowy, nikt nam nie będzie przeszkadzał...

Siedzieli właśnie w tym trzecim pokoju o różowo-białych ścianach. W zamkniętym pokoju obok mieścił się gabinet ojca Wiesława, bo takim imieniem przedstawił się dryblas. Ojciec był jakimś ważniakiem i nie wiadomo, co trzymał w swoim pokoju, za to wiadomo było, że nikomu nie wolno tam wchodzić.

Wiesław usiadł bardzo blisko Roberta. Spojrzał Stonce głęboko w oczy i mrugnął:

– Eeech, naprawdę jesteś ładny – powiedział znowu. – Ja to mam oko. Będą mi ciebie zazdrościć na całej dzielnicy...

Stonka spojrzał zdziwiony, nic nie rozumiał. Dryblas widząc to zaczął wyjaśniać:

– Tak naprawdę to tylko tak mówię. Nikt mi nie będzie zazdrościł, bo ja nie mam żadnych kolegów ani znajomych... to znaczy, mógłbym mieć, ale ja nie chcę się zadawać z byle kim. A tym, którzy chcą się ze mną przyjaźnić zależy tylko na wpływach i pieniądzach mojego starego...

Monolog ten niewiele rozjaśnił w głowie gościa, jednak Wiesław nie bacząc na to kontynuował:

– I raczej nie będę się mógł z tobą nigdzie pokazać. W tym kraju takich jak my się nienawidzi, wyśmiewa, opluwa, a nawet bije...

Stonka nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że ktoś mógłby pobić tego dryblasa o rękach długich jak styliska łopaty i dłoniach jak łychy koparek. I dlaczego on mówi: „my”? Jacy my? Przecież powiedział, że nie ma żadnych znajomych. A nie może mieć na myśli jego, przecież oni dwaj nie mają ze sobą nic wspólnego...

– Aaale... ja muszę do szkoły, na lekcje... – bronił się nieśmiało trzynastolatek. – Dzisiaj mam klasówkę z matmy, nic nie umiem, ale jak nie pójde to dostanę pałę...

– Oj ty pilna pszczołko pracowita! – wykrzyknął nagle wyjątkowo cienkim jak na takiego dryblasa głosem. – Jak nic nie umiesz to i tak dostaniesz pałę. A zresztą, co ty się tak szkołę przejmujesz, przecież szkoła ci nie ucieknie, jak chcesz to mój ojciec załatwi ci taką szkołę, jaką tylko będziesz chciał, nauczyciele będą ci się w pas kłaniali i mówili do ciebie „proszę pana”...

Uśmiechnął się i dodał przeciągłym głosem:

– A ze mną widzisz się po raz pierwszy, to chyba wiadomo, co jest ważniejsze. Zresztą, tutaj też możesz dostać pałę... I przekonasz się, że wcale nie jest mała...

Ostatnie zdanie znowu wyszeptał Stonce przeciągle do ucha tak, że ten aż się wzdrygnął, zerwał z kanapy, na której został uprzednio usadzony i chciał wybiec z tego obcego mieszkania, lecz gospodarz szturchnął go paluszkami w ramię i obalił z powrotem na twarde podglówki.

– A coś ty taki nerwowy, pieseczku? – zapytał. – W twoim wieku to niezdrowe! Ty powinienes tryskać energią, radością, cieszyć się życiem. Chcesz, to ci puszcze płytę, mam wszystko z polskiej muzyki... ale to pewnie znasz, na okrągło w radiu leci, do zarzycania... mam też Queen i Amandę Lear... znasz Amandę Lear?

Stonka potrząsnął głową.

– Mam też Ninę Hagen, ojciec przywiózł z NRD, Diamandę Galas... co tylko sobie życzysz...

Stonka milczał jak zakłęty, ale dryblas szczerzył żółte zębiska, zadowolony z siebie i bynajmniej nie zbity z tropu wykrzyknął nagle:

– Gapcio ze mnie! Przecież ja miałem zrobić herbatę! Już idę do kuchni nastawić wodę!

Poczłapał na paluszkach do kuchni, co przy jego posturze wyglądało dość komicznie, a tymczasem Stonka zaczął się rozglądać za ewentualną drogą ucieczki. Nie zdążył się jednak dobrze rozejrzeć, gdy dryblas cofnął się nagle, zajrzał przez futrynę drzwiową do środka i rzekł:

– Tylko mi nigdzie nie uciekaj...

„No i mam pasztet... – pomyślał Stonka. – Czego ten dziwak w ogóle ode mnie chce? Utknąłem na dobre i nawet zadka od kanapy oderwać nie mogę...”

Ta ostatnia myśl przyszła mu do głowy zdecydowanie w złą godzinę, bo gdyby tylko wiedział, co go czeka i do czego to wszystko prowadzi, z pewnością wolałby trzymać swój zadek bezpiecznie wtulony w podglówki tak, aby nikt z żadnej strony nie miał do niego dostępu...

Tymczasem Wiesław przybył z herbatą w szklankach, które ustawił ekwilibrystycznie na przejrzystych spodkach. Z powodu braku uchwytów do szklanek, picie gorącego napoju też wymagało nie lada talentów akrobatycznych. Stonka nie był jednak zainteresowany piciem.

„Chyba mi tam nie napluł – myślał. – Przecież mógłby mi dokuczyć na tyle innych sposobów... Jak mnie otruje to będzie musiał się pozbyć ciała, a to nie takie łatwe...”

– Mamy nawet cukier do herbaty, mój ty dziubasku... i ciasteczka – powiedział stawiając na stole cukiernicę i kładąc obok rulon wedlowskich delicji, wymachując przy tym głową to w lewo, to w prawo, eksponując i tak już wystający nos.

„Zachowuje się jak moja babcia z Krosna, gdy przyjadę do niej na święta” – pomyślał Stonka, lecz tymczasem dryblas zdążył się przysiąść tuż obok niego na kanapę, dotknął jego włosów, szyi, dłoni...

Nagle Stonka poczuł szorstki, wilgotny język, wkręcający się w jego ucho. Co to do cholery miało znaczyć?! Z całą pewnością babcia z Krosna nigdy nie wpadłaby na taki durny pomysł...! Przestraszył się i chciał uciec, próbował opędnąć się jak przed gzem, ale dryblas przygwoździł małe ciało Roberta uściskiem łap, wielkich i ciężkich jak bochny chleba. Chciał krzyczeć, ale słodki i gorący od herbaty język już znalazł się w jego ustach. Nie mógł wrzeszczeć, a bał się, że zaraz się uduśi. Nawet się nie spostrzegł, gdy jego rozpięte spodnie zostały zsunięte przez kolana, kostki i wylądowały na gustownym per-

skim dywanie z NRD. Stonka zawstydził się, bo miał na sobie niezbyt wyjściowe majtki. Z tyłu i z przodu widniały zażółcenia, których matka nie była w stanie doprać ręcznie, a nie było ich stać na pralkę. Jednak dryblas nie zwracał wcale uwagi na majtki, bo wkrótce i te wylądowały na dywanie, obok spodni. Tak sprytnie go obracał, że Stonka nawet się nie spostrzegł, jak znalazł się tyłem do dryblasa, nieco pochylony i wypięty, dryblas zaś zaczął gładzić dłońmi jego pośladki i wsuwać pomiędzy nie wilgotny język.

„Fuj! – pomyślał Stonka. – Jak on w ogóle może robić coś takiego...? Przecież to obrzydliwe! Mam nadzieję, że nie będę musiał odwzajemniać mu się tym samym... Jeśli kąpie się raz na tydzień, tak, jak ja, to tam musi mieć niezły gnój... O Boże, dziś jest czwartek, a w większości domów dzień kąpieli to sobota...” – rachował rozpaczliwie i nieco zażenowany, że ktoś oblizuje ze smakiem jego niezbyt domyty tyłek.

– Rozluźnij się – powiedział dryblas cicho i jakby czule. – Pomyśl, jak ci jest teraz dobrze...

– Wcale mi nie jest dobrze! – wykrzyknął Stonka i szarpnął się jakby chciał uciekać, ale dryblas przygwoździł go znowu całym ciężarem wielkiego cielska.

– To dlatego, że to twój pierwszy raz – szepnął znowu, delikatnie kąsając go w małżowinę uszną. – Za pierwszym razem zawsze trochę boli, ale obiecuję, że będę delikatny i postaram się, żeby było miło. Zobaczysz, następny raz przyniesie ci już rozkosz, jakiej się nawet nie spodziewasz... Rozluźnij się, wtedy mniej boli... im bardziej się rozluźnisz, tym głębiej w ciebie wejdę i tym większą poczujesz rozkosz... tam, w środku... zobaczysz, zaufaj mi...

Stonka bynajmniej nie miał zamiaru zaufać dryblasowi, ale na wszelki wypadek postarał się choć trochę rozluźnić z na-

dzieją, że to, co miało go zaraz czekać, rzeczywiście będzie go wówczas mniej bolało. Spodziewał się najgorszego...

Tamten przestał już wwiercać mu się w pupę językiem, więc Stonka odetchnął z ulgą. Ale nie było powodów do radości, bo chłopiec nagle z przerażeniem poczuł jakiś twardy, gorący przedmiot, ocierający się o wlot odbytu. „Jak to? Dlaczego? Cemu akurat tam? Co on chce zrobić? Przecież... ja chcę kupę...!” Stonka ujrzał dłonie dryblasas sięgające do nocnej szafki po pudełeczko z wazeliną i usłyszał kliknięcie zdejmowanego wieczka.

– Rozluźnij się... rozluźnij się... – szeptał dryblas.

„Łatwo ci powiedzieć, tobie nikt nie gmera wokół tyłka – pomyślał Stonka. – Rozluźnij się, rozluźnij się, to znacznie mniej zaboli” – powtórzył sobie w myślach i gdy tylko wydawało się, że udało mu się nieco rozluźnić, poczuł, że dryblas wsunął mu to coś prosto do pupy. Pośladki chłopca natychmiast zacisnęły się kurczowo.

– Ooooooooooch! – jęknął dryblas wprost do ucha Stonki, który poczuł w pupie nagle pulsowanie gorącego drążka i jakby rozpieranie cieplej materii, wylewającej się w środku obfitymi strumieniami...

„To straszne! To obrzydliwe! Co on mi zrobił?! Co on mi tam włożył?! To nie jest palec ręki ani żaden przedmiot! Czy to jest...?! Nie, to niemożliwe, nie wierzę! Jak można w ogóle robić coś takiego...!” Stonka nawet się nie spodziewał, że to, co zaszło, stanowiło dla dryblasas zaledwie preludium.

– Cudowny jesteś! – szepnął mu znowu do ucha. – Taki ciasny, niewinny... Widzisz jak bardzo cię pragnąłem, tylko w ciebie wszedłem i od razu wystrzeliłem... A on wciąż stoi, czujesz jaki jest twardy...?

Stonka czuł tylko rozdzierający ból, gdy dryblas próbował wpychać mu swojego sterczącego pręta coraz głębiej i głę-

biej. Zacisnął zęby i starał się nie krzyczeć, choć ból był nie do zniesienia, jakby dryblas chciał mu porozdzierać wszystkie wnętrzności, jelita, dostać się do wątroby...

„Rozluźnić się, wtedy będzie mniej bolało...” – powtarzał sobie zakłęcie.

* * *

Jakże piękny byłby świat w swej naturalnej formie, gdyby człowiek nie ingerował brutalnie i ordynarnie w boskie dzieło stworzenia. Drzewa i rośliny, zwierzęta, glony i porosty, wszystko: fauna i flora, dziko rosnące i uprawne, gadzina dzika i hodowlana, a człowiek żyje i rozmnaża się i czyni sobie ziemię poddaną, jak było na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków... Tak było...

* * *

... w sadach renety i renklody, zdrowe, bez oprysków, a na drabinach owoce zbierały młode dziewczyny, zdrowe, i ponętne. I wszędzie rozlegał się odgłos zdrowego chrupania zębów, wbijających się w owoce z takim apetytem, z jakim robak zabiera się do pałaszowania świeżej sosnowej trumny z młodą dziewczyną w środku. Z pól dobiegał jedynie tępy odgłos okopywania buraków i towarzyszący mu nieraz, po dwudziestu godzinach nieustannej harówki, głuchy stukot osuwających się na glebę ciała co słabszych dziewcząt. Zarówno owoce i warzywa, jak i dziewczęta, zdarzały się niekiedy robaczywe wskutek naturalnej hodowli, jednak sama natura najlepiej reguluje te

kwestie tak, aby przyszłym pokoleniom przekazywać jedynie to, co krzepkie jak rzepa i godne przekazania potomstwu.

Nikt wtedy nie myślał o zapłodnieniu in vitro ani innych nienaturalnych wyskokach. Naukowcy spali smacznie w swoich laboratoriach i co najwyżej, gdy się nieco przebudzili, opracowywali nowe sposoby mieszania kompostu, by wyhodować bardziej dorodne i zdrowe rzepy. Dzieci rodziły się w sposób naturalny, gdyż tak mężowie, jak i niewiasty, byli zdrowi, płodni i czynili sobie ziemię poddaną.

Oczywiście nie warto żałować słabszych jednostek, że psują nam statystykę. Co silniejsze i zdrowsze okazy zostawały w przyszłości żonami i matkami najbardziej zasłużonych prominentów, w takiej właśnie kolejności. Zdarzały się wszakże odstępstwa od reguły, zgodnie z powiedzeniem, że mężczyzna jest jak puchar przechodni, w miarę upływu wieku w coraz młodszych rękach.

Jak na ten przykład pewien staruszek, który poślubił koleżankę własnego wnuka, w dodatku jedną z tych, co ledwie była w stanie utrzymać motykę na redlinach, ale nie o tym chcielibyśmy mówić. Zresztą obywatel ten był artystą, może nawet aktorem, w dodatku sławnym, zatem wybaczyć mu należy pewien stopień wynaturzenia, tym bardziej, że wspomniany nieszczęśnik już od pewnego czasu nie żyje, a wdowa po nim odziedziczyła spory spadek.

Co tu mówić. Pięknie było. Zwierzęta w lasach mnożyły się na potęgę, bez żadnych odgórnych regulacji, natura sama robiła porządek w liczebności stad rysi i zajęcy, czy bażantów i biedronek.

W każdym domu mąż i żona otoczeni wianuszkami dzieci, żyli uczciwie z ciężkiej pracy rąk swoich i niekiedy również i umysłów. Czyż nie był to piękny świat?

Ano, piękny był ten świat, tak urządzony, zgodnie z zamiślem Boga Ojca i Matki Natury.

Jednak mógłby się stać jeszcze piękniejszy, pomyślał szatan w postaci węża drzemiącego na Drzewie Wiadomości Dobrego i Złego. Trzeba tylko kogoś do tego namówić, by wraz z nim zmienić ten świat, świat Boga, mądrali.

Gdy zobaczył pod drzewem Ewę-rodzicielkę, zsunął się w dół, wprost do jej szyi, i szepnął jej kokieterijnie do ucha:

– Warto by to i owo pozmieniać w tym Raju, udoskonalić i poustawiać tak, jak się tobie i Adamowi żywnie podoba: wasze dzieci, wnuki i następne pokolenia mogą wyhodować grejpfruty bez pestek, pomarańcze bez skórek. A kobiety będą takie...

Tu mrugnął porozumiewawczo do Adama, który stanął z boku i zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Wąż zadbał, by znaku porozumiewawczego nie zauważyła będąca nieco przykości Ewa i szeptał nadal:

– Baby będą do wyboru, do koloru. Żółte, czarne i brązowe, wszystkie ładnie opalone, żadnej bladej. Blondyny, brunetki, rude, nawet niebieskowłose, zielonowłose, fioletowe... bez grama tłuszczu na ciele, za to z silikonem w wargach i klatce piersiowej.

Adam tylko się zadumał, a podejrziwa Ewa zbliżyła się, by lepiej słyszeć cichy syk węża:

– Kury znosić będą co rano kwadratowe jaja wprost do odpowiedniej przegródki w wytłaczance, a wieczorem same rozbierałyby się do rosołu i krokiem defiladowym wkraczały do samochodu-chłodni, uprzednio skręciwszy sobie kark, żeby w ubojni było mniej pracy... Kobiety o prostych jak brzeg ekierki biodrach i mężczyźni z gustownymi wcięciami w taliu marynarki, której poły wyglądają od dołu jak baskinka; wszyscy obowiązkowo wygolili uprzednio nogi, ręce, krocza i ewentualnie – klatki piersiowe. W takim świecie nie byłoby

miejsca na przypadek, bałagan czy nieprzewidziane trudności, gdyż byłby to świat idealny...

Tak kusił naszych prarodziców zbuntowany anioł-szatan-cherubinek, ojciec kłamstwa i ksiązę ciemności, lecz przede wszystkim pierwszy miłośnik kobiet i mężczyzn, babiarz i biseksualista w jednej osobie. Pra-założyciel miast Sodomy i Gomory, twórca grzechu sodomskiego, kochanek ludzi w nich mieszkających. A był to ludek o zatwardziałych sercach, pełnych fałszu, skorych do popierania złoczyńców, wyniosłych, nie wspierających ubogich i nieszczęśliwych. Mieszkańcy ci miłowali wszelkie zbytki, pychę i obrzydliwość (hebr. towabah do czego to się odnosi?).

* * *

Czy nie byłby to piękny sen? Zbyt piękny by mógł być prawdziwy – powie niejeden, i będzie miał rację, zbyt piękny to sen, zbyt piękny...

Zatem dobranoc moi drodzy, i niech wam się przyśni piękny świat, idealny, skrojony jak raz na waszą miarę, wprawnie i pięknie jak marynarka unisex z obowiązkową baskinką.

Dobranoc, dobranoc...

* * *

Nic się nie dzieje bez przyczyny. Jak po zimie jest wiosna, po wiosnie lato, potem jesień, a po jesieni znowu zima, tak po roku dwa tysiące dwunastym przyszedł dwa tysiące trzynasty, potem dwa tysiące czternasty, dwa tysiące piętnasty i tak dalej...

Brzuszek Marysi też nie urosł bez żadnej przyczyny, choć w mieście, z powodu oświetlenia komunalnego, nie było wiadać ani pierwszej, ani w ogóle żadnej gwiazdki, a i o mędrców coraz trudniej, mimo że prywatne uczelnie mnożyły się tak, jakby były rzeczywiście potrzebne.

Mnożyły się też coraz to nowe partie i ugrupowania w Sejmie, a każde następne było bardziej dziwaczne od poprzedniego. I tak: swoje własne partie miały feministki, mniejszości seksualne, ekolodzy, wegetarianie, obrońcy zwierząt, sportowcy – w tym oddzielnie rowerzyści, piłkarze, narciarze i hokeiści, a nawet miłośnicy pierogów czy chleba z dżemem. Sytuacja stała się na tyle absurdalna, że z każdym dniem spodziewano się wielkiego przewrotu, a to nie wróżyło nic dobrego.

Życie jednak toczyło się dalej i domagało się respektowania wszystkich swoich praw i potrzeb. Codziennie musiało być śniadanie, obiad i kolacja, a wieczorem każdy szanujący się obywatel udawał się na spoczynek z nadzieją, że kolejny dzień nie będzie gorszy od poprzedniego.

– Jak myślisz, zdąży się urodzić zanim się wszystko pozmienia? – zapytała Marysia gładząc się po ledwie co zaokrąglonym brzuszku. – Bo jak już się pozmienia to tylko na gorsze. W tym kraju nic nigdy nie zmienia się na lepsze...

– Daj spokój, to będzie silny chłop, w końcu, mój syn! – Kacper energicznie poczochnął żonę po głowie, tak jak się czyni raczej w stosunku do jakiegoś kumpla niż kobiety, a tym bardziej żony i matki swego nienarodzonego dziecka.

To tylko jeszcze bardziej rozsierdziło Marysię.

– A skąd ty w ogóle wiesz, że to będzie chłopiec, przecież jeszcze za wcześnie na badanie? – zapytała oschle.

– Wiem i już. To będzie mój syn i on zrobi porządek z tymi wszystkimi tu... żadnych różowych apaszek ani manikiuru...
– rozmarzył się.

– Czyli do wyboru zostają hipsterskie okulary plus broda albo łysy łeb skina... – roześmiała się, po czym dodała pod nosem. – I akurat z całą pewnością urodzi się łysy, nawet jeśli będzie dziewczynką.

– A ty byś pewnie wołała, żeby był metroseksualny, a w ramach hobby defilował w paradach równości z tęczową flagą w dłoni, co? – szydził.

– Co ja słyszę?! – oburzyła się kładąc obie dłonie na brzuchu. – Zamierzasz dyskryminować nasze dziecko zanim się jeszcze urodzi?! Jesteś podły! Męski szowinista!

– Daj spokój – Kacper tylko machnął ręką i usadowił się na fotelu celem bardziej komfortowego siorbania herbaty. – Zresztą i tak nie będzie żadnej rewolucji, tak tylko gadali. No bo powiedz ty mnie, jak mniejszość może przegłosować większość? Przecież chyba jest demokracja nie?

Marysia ziewnęła.

– Ano jest, jest, niestety...

– Jak to niestety? A ty co byś wołała? – oburzył się.

– Nie wiem, co bym wołała, ale wiem, że Adolf Hitler doszedł do władzy w wyniku demokratycznych wyborów. A to chyba wystarczający dowód przeciwko niej – rzekła wgryzając się w eklerkę rozłożoną na części i zaczynając od kremu. – Problem polega tylko na tym, że nikt nie wymyślił rozwiązania lepszego od demokracji... I tak od antyku... wtedy demokratyczny senat przegłosował otrucie Sokratesa...

– A ty nie za dużo filozofujesz w swoim stanie? – zapytał zmęczony słuchaniem jej wywodów.

– A według ciebie jak kobieta zachodzi w ciążę to się jej włącza blokada myślenia? Że już jak w ciąży to głupia, tak? – histeryzowała plując z pełnymi ustami.

– Daj spokój – mruknął Kacper. – Po prostu uważam, że kobiecie, prawdziwej kobiecie, nie przystoi tak gadać o demokracji... o polityce w ogóle. To nie dla kobiet...

– Według ciebie polityka nie jest dla kobiet? – zapytała biorąc się pod boki.

– No... tak mi się zdaje... gdy popatrzę na te posłanki... czy z lewa, czy z prawa, to one jakieś takie niezbyt kobiece... te bokserskie twarze... – skrzywił się.

– No przykro mi bardzo, ale jeśli marzą ci się w Sejmie zgrabne blondyny, gwiazdki porno, to trzeba się było urodzić we Włoszech... – odcięła się. – A ja cię ostrzegam, że takie lekceważenie kobiet może się dla ciebie źle skończyć! – pogroziła mu palcem z miną jak najbardziej poważną.

– Co do tego to akurat nie mam najmniejszych wątpliwości... niestety... – mruknął chmurnie, po czym dodał: – Zresztą, jak jesteś taka mądra, to możesz to udowodnić, choć zagramy... – sięgnął do regału i wyciągnął kilka pudełek z grami planszowymi.

Zadowolony z siebie podsunął jej pod nos jedno z pudełek z nadzieją, że zajmie czymś żonę i dzięki temu zdobędzie choć kilka chwil spokoju. Marysia zlustrowała pobieżnie wszystkie pudełka, po czym kilka z nich niechętnie odrzuciła na bok. Kacper wybrał w końcu jedną z gier.

– Nie, nie tę, weź tę fioletową, ta jest polityczna...! – pouczała go.

Wkrótce puste szklanki po herbacie i talerzyki po eklerkach wylądowały na podłodze pod ławą, a na stole została rozłożona plansza do gry, pionki, kostki...

Twarze małżonków zastygły w wyrazie skupienia, a Marysia nawet naprzemiennie zaciskała zęby i zagryzała wargi, rzucała też w stronę męża wściekłe spojrzenia, jakby chciała powiedzieć: „Już ja ci pokażę rewolucję, ja ci pokażę Sejm-misję...”

Żółte firanki

Zima nie ustępowała. No, może tylko w górach temperatury poszły nieco w górę, bo właśnie cała Warszawa wyjechała do kurortów na ferie zimowe i nie mogło być tak, jak by sobie życzyli.

– Wiesławie, a czym właściwie zajmuje się twój ojciec? – zapytał kiedyś Robercik.

Był teraz częstym gościem w domu Komuszków i coraz bardziej uderzał go po oczach panujący tam dobrobyt, na który początkowo nie bardzo zwracał uwagę. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby kiedyś i on mógł żyć w tak przestronnym mieszkaniu, codziennie jadać na śniadanie szynkę i grapefruity, a co roku kupować sobie nowe dżinsy.

– No jak to, ty nic nie wiesz? – zdziwił się Wiesław. – Przecież wiesz, jak się nazywam.

Robercik milczał i tylko wzruszył ramionami. Znał ich nazwisko, ale nie kojarzyło mu się z niczym.

– Ojciec jest w PZPR – powiedział w końcu. – Ale ja się od tego odcinam! Zdecydowanie! – zastrzegł zaraz.

Robercik nie rozumiał. Rzadko interesował się czymkolwiek. W myślach próbował rozszyfrować skrót PZPR: Przedsiębiorstwo Zawodowe Produkcji Rolnej... może tak. Nie, to głupie, przecież mieszkają w mieście, a ojciec Wiesława ma gabinet. Rolnicy raczej rzadko przesiadują po nocach w swoim gabinecie. Lepiej już zapytać Wiesława, najwyżej znowu będzie się śmiał i nazwie go znowu swoim głuptaskiem.